

KAZIMIERZ GÓRSKI

LWOWIAK NA WEMBLEY

Kazimierz Górski urodził się w 1921 r. we Lwowie. Jego ojciec - Maksymilian - był obrońcą Lwowa w 1920 r., pracował jako maszynista na kolei, miał poglądy pepesowskie. Matka Zofia zajmowała się domem. Rodzina była duża - Kazimierz miał cztery siostry i jednego brata. Mieszkali w kolejarskiej dzielnicy Bogdanówka. Przyszły trener chodził do szkoły powszechnej na ul. Sienkiewicza, a później do IX gimnazjum. Pieszko miał do dworca głównego 15 minut, a 5 minut na boisko Robotniczego Klubu Sportowego.



W domu były bogate tradycje obchodzenia Świąt Wielkanocnych i Bożego Narodzenia. Do kościoła chodzili starsi. My jako uczniowie podczas uroczystości spotykaliśmy się na nabożeństwie w szkole, w sali gimnastycznej, a potem szliśmy oglądać mecze. Trzeciego Maja i 11 Listopada chodziliśmy na defilady. Ojciec brał w nich udział, maszerował razem z innymi obrońcami Lwowa. Pasją ojca była hodowla gołębi pocztowych. Interesowało się nimi wojsko, które puszczało je ze 100, a potem 150, 200 km od naszego domu i sprawdzało, czy są zdolne wrócić na miejsce z rozkazami. Teraz to się może wydawać śmieszne, ale wtedy poważnie podchodzono także do takich sposobów tęczności.

„Sarenka”

Gra w piłkę zaczęła się podwórku, potem po lekcjach w szkole. Bramki ustawiało się z teczek. Grałem w RKS-ie w juniorach, a później – mając 16 lat – w lidze okręgowej razem z seniorami. Nie byłem mocno zbudowany, raczej chucherko. Na boisku miałem pseudonim „Sarenka”, dlatego że uczniowie gimnazjum mieli zakaz gry w klubach dla dorosłych. Teraz trudno w to uwierzyć, ale tak było. Takich sportowców było wtedy więcej. Miałem znajomego rekordzistę Polski w biegu na 100 m, który nazywał się Siennicki, a biegał pod pseudonimem Danowski. Za należenie do klubu sportowego groziło wyrzucenie ze szkoły. Określenie „Sarenka” wzięło się stąd, że choć mizernej postury, byłem niezwykle szybki i zwrotny. Grałem w napadzie i na prawym tęczniku. Dla mnie prawa czy lewa noga to było wszystko jedno i ogrywałem starszych zawodników. Do dziś zachowałem gazety z tamtego okresu, w których jest napisane, że w meczu wyróżnił się „Sarenka”. Tak było szczególnie w lwowskiej lidze okręgowej, do której przed wojną należały również drużyny ze Stryja, Jarosławia, Przemyśla czy Rzeszowa. Z niej wchodziło się do pierwszej ligi.

Trenowali nas starsi piłkarze. Pamiętam jednego z nich, o nazwisku Deutschmann, który był zawodnikiem Pogoni Lwów. Był naszym grającym trenerem. Czy ktoś jeszcze grał

z mojej rodziny? Nie, mój brat miał 10 lat i można powiedzieć, że mi wtedy buty nosił. Piłka była bardzo popularna w mieście i na przykład w niedzielę różne zespoły grały na naszym boisku prawie przez całą dzień.

Zielona trybuna

We Lwowie były wtedy trzy dobre drużyny: Pogoń, Czarni i Lechia. Wcześniej była jeszcze żydowska drużyna Hasmonea. Chodziłem na Pogoń i oglądałem wszystkie mecze ligowych zespołów. W okresie Wielkanocy przyjeżdżały wtedy do Lwowa zagraniczne drużyny. Podglądałem wybitnych zawodników z drużyn austriackich, czeskich czy węgierskich. To była czołówka Europy. Miałem miejsce na tak zwanej zielonej trybunie, czyli na drzewie. Bardzo trudno było się na nie dostać, bo policjanci jeździli na koniach i nas spędzali. Te drzewa to były rozłożyste kasztany, które rosły za parkanem. Dziś już ich nie ma, bo teraz jest tam jednostka wojskowa.

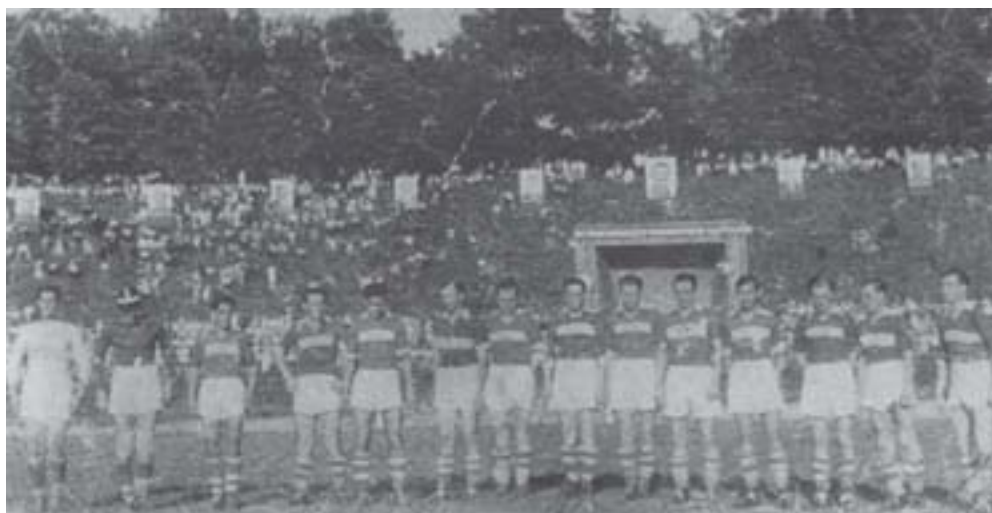
Moim idolem był zawodnik Pogoni Lwów Michał Matyas. Był świetnym bramkostrzelnym technikiem. Pamiętam też najlepszego polskiego zawodnika Ernesta Wilimowskiego z Ruchu Chorzów (który później w czasie wojny grał w reprezentacji Niemiec). Kiedy przyjeżdżał ze swoją drużyną, na mecz przychodziło od razu o dwa tysiące kibiców więcej. Miał wspaniały drybling, jak dostał piłkę w polu karnym, to bramka była niemal pewna. Mijał obrońcę, bramkarza i wjeżdżał do pustej bramki, a ludzi to podrywało. Podpatrywałem też innych zawodników. Świetny był Sindelar z reprezentacji Austrii, Pitza z Czech czy Binder z Rapidu Wiedeń, który był bardzo wysoki i dobrze zbudowany i po boisku poruszał się tak, jakby chodził, a nie biegał. Strzał miał straszny, widziałem, jak strzelił z 40 metrów i ta piłka nie wiadomo kiedy wpadła do bramki. To były dla mnie wzory, które naśladowałem razem z kolegami. Tak się to zaczęło.

Klub szachowy

Nigdy nie przypuszczałem, że będę trenerem. Gra w piłkę sprawiała mi satysfakcję, ale obok mieścił się jeszcze ligowy klub szachowy Legion i w okresie jesienno-zimowym chodziłem tam i patrzyłem, jak grają w szachy. Zacząłem grać i wygrywać, nawet ze starszymi panami. Wróżono mi nawet wielką przyszłość szachową, ale zostawiłem ją dla piłki, bo młodzież musi się wyżyć, wybiegać. Szachy na pewno mi pomogły, bo rozwijały umysłowo i analitycznie. Spotkania szachowe rozpisywane były na poszczególne ruchy, które później się analizowało i wyciągało wnioski, zwłaszcza po przegranych meczach. To pokazywało, gdzie popełniło się błąd, czego można było uniknąć, a także uczyło przewidywania ruchu przeciwnika. Zalecam to podczas spotkań młodzieży. Dobrze



Kazimierz Górski (stoi trzeci z prawej) z kolegami na obozie Przystosobienia Wojskowego; Nadwórna 1939 r.



Kazimierz Górski (czwarty z prawej) z drużyną Spartaka Lwów, na charakterystycznie przystrojonym przez Sowieców portretami przywódców stadionie, Lwów 1940 r.

grali w szachy także moi koledzy trenerzy Apostel czy Strejla. Po latach te umiejętności pomagały mi wyciągnąć wnioski z przegranych spotkań na boisku. Pamiętam, jak przyjeżdżali mistrzowie szachowi i grali jednocześnie na 20 szachownicach, wtedy się zastanawiałem, jak oni pamiętają te swoje pociągnięcia. Ale oni mieli swoje systemy i przewidywali kolejne ruchy.

Wojna

Gdy wybuchła wojna, miałem 18 lat. Pamiętam, że pierwszego września leżałem z kolegami na boisku i widzieliśmy, jak przelatują nad nami samoloty, potem usłyszeliśmy wybuchy. Niemcy zbombardowali lwowski lotnisko i rzucili bomby na miasto. Pozabijali zwłaszcza emerytów, którzy przyszedł odebrać swoje emerytury.

Potem Rosjanie. Spotkałem ich 70 kilometrów od Lwowa, bo po agresji niemieckiej uciekali z kolegami na wschód. Hitlerowcy byli już pod Lwowem od strony Przemyśla, nie wiedzieliśmy, co będzie dalej. Gdy zobaczyliśmy Rosjan, zaczęliśmy wracać. Jak wyglądały wojska rosyjskie? Nieciekawie, tak jakbyśmy zobaczyli innych ludzi. Inaczej wyglądał elegancki polski żołnierz, a zupełnie inaczej oni. To było zderzenie. Oni mieli przecież karabiny na sznurkach, a my oglądaliśmy nasze wojsko na paradach, kawalerię na koniach... Rosjanie doszli do Przemyśla i tam była granica z Niemcami. W 1941 r. Niemcy bardzo szybko zajęli Lwów.

Po wkroczeniu do Lwowa Rosjanie zlikwidowali polskie kluby. W 1940 r. grałem w stworzonym przez nich Spartaku Lwów. Drużyny reprezentowały wtedy różne branże zawodowe, Spartak był klubem rzemieślniczym. Trenował nas Austriak.

100 gram spirytu

Gdy miałem 23 lata, w 1944 r. poszedłem na ochotnika do wojska. Tworzyliśmy zapasowy pułk, którym uzupełniano straty. Zgrupowani byliśmy na Majdanku, potem poszliśmy do Warszawy. Tam dowództwo wybierało osoby do szkoły oficerskiej. Zapytali mnie, co



Z piłkarzami i działaczami PZPN na statku, lata siedemdziesiąte

robiłem wcześniej, odpowiedziałem, że grałem w piłkę. A oni na to, że tacy też są potrzebni, i właśnie z takich osób powstała wojskowa drużyna. W parku Skaryszewskim mieliśmy boisko – dziś mieści się tam boisko Drukarza.

Pierwszy mecz rozegraliśmy 1 maja z drużyną Syreny, w której grało wielu przedwojennych piłkarzy, na przykład profesor Ciszewski czy bracia Przeździeccy z Legii. Pamiętam, wynik był 3:3. Całe dowództwo naszej jednostki było na stadionie i gdy strzeliliśmy pierwszą bramkę, radziecki pułkownik, który był naszym dowódcą, wezwał kwatermistrza i powiedział: „nada im siewodnia dać po 100 gram spirytu”. Taka nagroda... ale gdy oni nam strzelili gola, dowódca wołał kwatermistrza i mówił mu, że „nienada im dać”. I tak go wołał za każdym razem, bo co my strzeliliśmy, to oni wyrównywali. Ale po powrocie do jednostki dostaliśmy jednak do obiadu po 100 gram spirytusu.

Trener

Z tego naszego zespołu powstał CWKS Warszawa, który później wrócił do nazwy Legia. Wtedy grałem i jednocześnie pracowałem w Izbie Skarbowej, gdzie niszczyłem prywatną inicjatywę. Chodziłem po różnych firmach i robiłem notatki. Pracowałem tak trzy lata. Potem poszedłem do Legii na etat instruktora. Zrobiłem trzymiesięczny kurs na AWF w Krakowie i zacząłem się bawić w trenera, najpierw jako asystent Wacława Kuchara, a później już samodzielnie. Od 1955 r. przez pięć lat prowadziłem reprezentację juniorów, potem młodzieżówkę i wreszcie przez sześć lat pierwszą reprezentację. Trenowałem również samodzielnie przez sześć lat Legię, rok ŁKS, cztery lata Gwardię Warszawa, wprowadziłem też do drugiej ligi Marymont i Lubliniankę. Później byłem trenerem najlepszych drużyn Grecji:

RELACJE I WSPOMNIENIA Panathinaikosu i Olimpiakosu. Odpowiadał mi tamten klimat, gdzie gra się w piłkę cały rok. Gdy dzisiaj wspominam mecz z Anglikami na Wembley w 1973 r., to mam świadomość, że wtedy nastąpił jakiś przełom. Nikt nam nie dawał szans na zwycięstwo, a jednak pojechaliśmy na Mundial.

Inny Lwów

W 1946 r. moja rodzina repatriowała się ze Lwowa do Szczecina. Po wojnie zobaczyłem Lwów dopiero w 1990 r. To miasto wygląda inaczej. Dawniej mieszkało w nim 360 tys. ludzi, a teraz 900 tys. I choć Lwów ma swoje niezmiennione centrum, to obrzeża są inne, dominują duże bloki.

Rok temu znów byłem we Lwowie ze znajomymi i tak się złożyło, że tego samego dnia przedstawiciele PZPN mieli spotkanie z Ukraińskim Związkiem Piłki Nożnej. Doszło do podpisania umowy o wspólnej organizacji przez nasze kraje Mistrzostw Europy w 2012 r.

Wysłuchał i opracował Jarosław Wróblewski
Wszystkie zdjęcia z archiwum Kazimierza Górskiego



Z polską kadrą narodową na X Mistrzostwa Świata w Piłce Nożnej 1974 r.